

DZIECKO SZCZĘŚCIA

ALICJA BASTA

— Czasami wydaje mi się, że mam sto lat. Tyle przeżyłam, tyle doświadczyłam i przecierpiałam. Teraz cieszy mnie każdy przeżyty dzień, choćby najzwyczajniejszy.

Mówi to kobieta, która dla wielu wydaje się dzieckiem szczęścia. Piękna, młoda, utalentowana, sławna. Mordercy z wieloletnimi wyrokami piszą z więzień, że układają dla niej wiersze. Ludzie ułomni i chorzy donoszą, że zdjęcie jej twarzy osładza im życie.



To już historia. Jeszcze jako Anna Dziadyk w filmie kręconym w NRD pt. „Z życia nicponia”.

Jaka jest naprawdę? Śliczna i zgrabna nastolatka z „Nie ma mocnych” piękna kobieta z „Epitafium dla Barbary Radziwiłłówny”, aktorka Starego Teatru z Krakowa z 13-letnim już stażem, czyli Anna Dymna.

Siedzi w stylowym hotelu w remontowanym rozgardiaszu i na tle świeżo pomalowanej wianoręcznej ściany. Na uwagę, że lepiej było zarobić pieniądze na fachowców, twierdzi, że przyjemność jej sprawia praca fizyczna. Cieszy ją, gdy potrafi sama coś dobrze zrobić, coś, co jest bardziej wymierne niż jej role.

W poplamionej emulsyjną farbą sukience, z włosami gładko ściągniętymi do tyłu, bez śladu makijażu, nie tak już szczupła jak w pierwszych filmach, nie tak wysoka, jak sobie wyobrażałam, sprawia wrażenie — i stara się o to — zwyczajnej kobiety, dalekiej od wizerunku gwiazdy. Ale ludzie szukają młotów, potrzebują idoli tym bardziej, im bardziej szare wydaje im się życie.

— Często dziwię się, że ja, zwyczajny człowiek wzbudzam takie emocje w innych ludziach.

Dzwonek, za drzwiami stoi facet. Czerwienieje na jej widok, z trudem formułuje zdania. „Jestem pani ulubieńcem” — mówi, co ma znaczyć „wielbicielem” i prosi o zdjęcie. Po to przyjechał z odległej miejscowości. Nie chce zdradzić, jak zdobył jej adres.

Strach o dekonspirację adresu. W Szczecinie mieszka schizofrenik, który zapowiada, że ją musi zabić, ponieważ ona sędziuje jego myśli, steruje nimi.

Udzielila wywiadu po urodzeniu długo oczekiwanego dziecka. W parę tygodni później przyniesiono z poczty do teatru wielką paczkę: z ubrankami dla dziecka, bluzeczkami dla niej, z miłupami, innymi odzywkami Odpisała do Pabianic, że jest zażenowana, chce zapisać... Za listem zabraniającym jakiegokolwiek zapłaty „bo nie pieniądze są najważniejsze”, nadeszły dwie kolejne paczki. I kaseta z nagraniami piosenek wykonanych przez 11-letnią nadawczynię.

Popularność dają film i telewizja.

Mnie osobiście pomaga to i w teatrze — ludzie przychodzą obejrzyć mnie żywą. A teatr to moja miłość.

A wcale miłością miał nie być. 17-letnia Anna Dziadyk złożyła dokumenty na psychologię, aby utrzymać się w linii rodziny, w której nigdy aktora nie było. Ale był także Jan Niwiński, w którego teatryku dla dzieci „Kocim Teatrze” grywała przez kilka lat, sasiad z tej samej kamienicy. On namówił ją, żeby zdawała także do szkoły teatralnej.

W „Kocim Teatrze” grywała wróżki, koty i główną rolę sierotki Marysi, ale i Puka ze „Snu nocy letniej” Szekspira. Nauczyła się tam recytować wielką poezję i zdobyła nagrody na konkursach recytatorskich. Zdała więc i egzamin wstępny do PWST i na psychologię zdawać już nie musiała.

Gdyby patrzeć na jej karierę zawodową, rzeczywiście można by ją nazwać dzieckiem szczęścia. Na pierwszym roku jej studiów Lidia Zamkow wybrała ją do roli Isi i Chochoła jednocześnie w swoim kontrowersyjnym wówczas „Weselu” wystawionym w Teatrze Słowackiego. Dwa lata później zadebiutowała w Starym Teatrze w „Królu Mieszopuście” Aleksandra Rymkiewicza, gdy więc skończyła szkołę, dyrektor Jan Paweł Gawlik uznał jakby za naturalne zaangażowanie jej do zespołu. Pierwsza jej rola po angażu to Kora w „Nocy listopadowej” w reżyserii Andrzeja Wajdy.

Miała szczęście wejść do zespołu wybitnych osobowości aktorskich i grać pod kierunkiem wybitnych reżyserów. Zdażyła zagrać w przedstawieniach Konrada Swinarskiego przed jego przedwczesną, tragiczną śmiercią.

Jakby bagatelizuje własne zasługi, podkreślając rolę innych, także szczęśliwych okoliczności.

— Gdy przyszłam do teatru, okropnie młodo wyglądałam, więc dawano mi role młodych dziewcząt. Dlatego też tak dużo grałam w filmie, gdzie rolę panienek jest zawsze pod dostatkiem.

Ale Anna Polony, z którą rozmawiałam wcześniej, znakomita aktorka Starego i wykładowczyni szkoły teatralnej narzekała na brak utalentowanych młodych aktorek. Zatem nie tylko sama młodość się liczy.

Anna Dymna jakby czuła się nie do końca usatysfakcjonowana swoimi dokonaniem aktorskimi, jakby obawiała się, że obsadzana była i ceniona głów-

nie za urodę. Słuchając jej, pomyślałam, że jeszcze nie nadszedł czas, by mogła docenić i ten wielki dar losu dawany tak nielicznym, choć powiada, że przekroczyła pewien próg. Już nie może grać ról najmłodszych, zmieniała się także fizycznie po urodzeniu dziecka.

Odrzuciła parę propozycji filmowych, bo po kilkudziesięciu filmach wie już czego grać nie powinna. Chociaż to też ryzyko — odrzucić dziesięć propozycji, a jedenastej może już nie być.

— Jesteśmy tylko ludźmi do wynajęcia.

Prosta linia zawodowa przyniosła jej nie tylko szaloną popularność (w Łodzi powstał nawet klub miłośników Anny Dymnej), ale i Złoty Ekran w 1963 r. i nagrodę państwową w następnym.

W cieniu tej prostej, zwycięskiej drogi, kryje się druga, pełna załamania i dramatów. Nawet tragedii.

W 1970 r. spotkała Wiesława Dymnego, poetę, plastyka, aktora, człowieka niekonwencjonalnego. Zagrała w filmie, którego był współautorem „Pięć i pół Białego Józka” (który nigdy nie wszedł na ekrany), zaważyła trzeci rok studiów, ale została wkrótce panią Dymna. To Wiesław urządził ze strychu mieszkania, w którym dotychczas mieszka. Wkrótce po jego urządzeniu wybuchł telewizor, rozwalił połowę ścian, cudem ocalał właściciel, ale mieszkanie się spaliło. Trzeba było zaczynać urządzenie od nowa.

To był początek serii — śmierć męża, jej trzy wypadki samochodowe. Po najpoważniejszym na Węgrzech, który przeszkodził jej w udziale w filmie Mikłosa Jancso „Rapsodia węgierska” — pół roku leżała w szpitalu z uszkodzonym kręgosłupem. Długa rekonwalescencja. Udział w filmie, w którym poniosły konie i odnowiona kontuzja. Miesiące walki o powrót do zdrowia, długa rehabilitacja, w której pomagał jej obecny mąż. Potem równie uparta walka o własne dziecko. I rzeczywiście zwyciężyła, rzucając wszelkie nadzieje i przyszłość zawodową.

Ma za sobą 35 lat. Przeciętnie licząc połowę ludzkiego życia. Zmieściło się w niej ponad przeciętnie dużo dobrego i złego. Dla widzów jest dzieckiem szczęścia. Ona sama mówi o sobie trzeźwo i bez sentymentów.